



Bachantki – Stanisława Celińska (na pierwszym planie) i Magdalena Kuta

„Bachantki” Eurypidesa w teatrze Rozmaitości

WIARA I KARA

Spektakl Krzysztofa Warlikowskiego mówi słowami sprzed dwóch i pół tysiąca lat o dzisiejszej wierze i wątpliwości

Tragedia grecka zeszła w Polsce z afisza. Najbardziej popularna bohaterka antycznego teatru – Antygona, która jeszcze nie tak dawno u Andrzeja Wajdy w Starym Teatrze przeciwstawiała się komunistycznemu despotyzmowi, dzisiaj z rzadka pojawia się na scenie. Kiedy kilka sezonów temu warszawski teatr Studio próbował wznowić „Antygonę”, poniósł klęskę. Konflikt racji państwa i racji jednostki nie zainteresował publiczności.

Wiele w tym winy samego teatru. Tragedię grecką zbyt często interpretowano u nas jako lustro, w którym odbijał się świat współczesnego despotyzmu. Po 1989 roku lustro odsunięto w kąt. Tymczasem są takie tematy, w których grecka tragedia pozostaje niezastąpiona. Na przykład temat wiary. Pokażcie mi nowożytny dramat, który z taką siłą i przenikliwością mówiłby o relacji między człowiekiem a Bogiem jak „Orestea”.

Krzysztof Warlikowski wydawał się ostatnim artystą, który wziąłby się do podobnego tematu. Zrealizował co prawda kilka lat temu „Elektrę” Sofoklesa, w której eksperymentował z rytuałem, ale tamten rytuał, osadzony w realiach bałkańskich, miał wyłącznie estetyczny charakter. Bohaterowie teatru Warlikowskiego nigdy na serio nie spoglądali w niebo. Nie otwierali na scenie książeczek do nabożeństwa, nie modlili się ani nie wątpili. Interesował ich głównie problem własnej seksualności. Nawet jego „Hamlet” w teatrze Rozmaitości był wyczyszczony z metafizyki – rolę Ducha i Aktora grał ten sam wykonawca. Jednak po „Bachantkach” muszę zrewidować opinię na temat tego reżysera, spektakl jest bowiem poważną próbą spojrzenia na tragedię jako na dramat wiary.

W ostatniej swojej tragedii Eurypides stawia wiarę w krytycznym świetle. Nie na darmo miał u współczesnych opinię ateisty. Penteusz, młody władca Teb, odrzuca wiarę w nowego boga Dionizosa, która przyszła z Azji. Naśmiewa się z wyznawców, którzy w dziwacznych przebraniach biegają po górach, tańczą, piją wino i oddają się rozpuszceniu. Każe ich wtrącić do więzienia. Zostaje za to okrutnie ukarany przez Dionizosa, który pojawia się w miescie w ludzkiej postaci – opętana przez boga matka Penteusza Agawe rozrywa syna na strzępy. Sprawiedliwy wyrok – komentuje chór, któremu wtóruje stary Kadmos, dziad zmarłego: „Jeśli ktoś jeszcze pogardza bogami/ Niech w nich uwierzy, śmierć jego ujrawszy”.

Ten morał Eurypides podaje z okrutną ironią. Na scenie wciąż znajduje się morderczyni, której wróciła świadomość.

Odkrywa, że głowa, którą trzyma na kolanach, to nie głowa lwa, ale jej własnego syna. Kolejna w teatrze Eurypidesa postać kobiety doświadczonej przez los, czyli bogów. Jak w obliczu tak krzyczącej niesprawiedliwości chwalić boskie wyroki? Co jest wart bóg, który tak karze ludzi małej wiary? Zakończenie „Bachantek” nie jest zwycięstwem wiary, ale jej klęską. Bo czy wiara może być tylko funkcją strachu?

Ten liczący prawie dwa i pół tysiąca lat traktat o wierze Warlikowski wystawił z szacunkiem dla autora, raczej niespotykanym w jego spektaklach. Poważnym skrótem uległa tylko ostatnia część tragedii, zachowana zresztą we fragmentach, w której Dionizos wypędza z miasta Kadmosa i Agawę (Małgorzata Hajewska-Krzysztofik). Główną ingerencją reżysera w tekst są realia – Warlikowski i autorka scenografii Małgorzata Szczęśniak zanurzyli tragedię Eurypidesa w rzeczywistości, która nie jest ani antyczna, ani współczesna. Penteusz nosi czerwoną, puchową kurtkę, w pewnej chwili wkłada antyczny hełm. Figurę Dionizosa, do której modlą się kobiety z chóru, oświetlają jarzeniówki. Modłom towarzyszy muzyka Pawła Mykietyna, jaką można by usłyszeć w Radiu Jazz, ale sam Dionizos gra na archaicznej piszczalce. Bogowie nie znają czasu, nie są ani historyczni, ani współcześni, lecz wieczni.

Pokazując rytuał dionizyjski, Warlikowski nie poszedł w ślad za barokowym malarstwem, które przedstawiało dionizja jako płasy półnagich efebów z kiściami winogron wokół bioder. Kiedy Aleksander Bednarz (Kadmos) i Lech Łotocki (Tejrezjasz) zdejmują ubrania, wkładają na szyję sznury koralu i malują ciało, przypominają współczesnych Europejczyków, którzy nawrócili się na jedną z religii Dalekiego Wschodu. Są oczywiście śmieszni, kiedy w samych majtkach bełkoczą zaklęcia i potrzaskają naszyjnikami, ale śmiech zamiera na ustach, kiedy zaczynamy rozumieć, że za tymi śmiesznymi z pozoru gestami może się kryć siła zdolna rozerwać człowieka na strzępy.

Niekontrolowaną potęgę, ukrytą pod groteskowym przebraniem, czuje się w postaci Dionizosa granego przez Andrzeja Chyrę. To kapryśny chłopiec, który pytany o dionizyjskie rytuały, odpowiada w tonie: „Wiem, ale nie powiem”. Ale na początku spektaklu nie ma chłopca, jest zwierzę – Chyra stoi tyłem do widowni i wypowiada słowa prologu, bełkocząc, jakby dopiero uczył się ludzkiej mowy. Magnetyczna siła Dionizosa przyciąga nawet jego największego wroga Penteusza (Jacek Ponie-

działek). Penteusz jest gotów przebrać się za kobietę i czołgać po ziemi, byle Dionizos pokazał mu sekretne rytuały. Ich walka jest jak miłosny uścisk. Chyra w tym spektaklu to demon, który prowadzi do zguby, nie chciałbym spotkać go na swojej drodze.

Jedyną nie do końca rozwiązaną kwestią są partie chóru. Warlikowski trafnie przekształcił je w rozmowy nawiedzonych bachantek, które przypominają kobiety pytlujące w kościele z książeczkami do nabożeństwa w rękach. Ale w tych rozmowach jest za dużo nawiedzenia, za mało babiskiego gadania. Aktorki (Stanisława Celińska, Magdalena Kuta i Maria Maj) mówią cicho, same do siebie, i publiczność traci wątek. Szkoda, bo ten groteskowy chór byłby świetnym kontrapunktem dla bezsensownej kary spadającej na Penteusza.

Siła tego przedstawienia tkwi bowiem w sprzecznościach. „Bachantki” w Rozmaitościach są jednocześnie głosem na rzecz tolerancji i ostrzeżeniem przed sektami. Wyznaniem wiary w bogów i ich gorącym oskarżeniem. Spektakl Warlikowskiego trafia w ambiwalentny stosunek współczesnej kultury do wiary, a zarazem pokazuje, że nie my pierwsi miotamy się między wiarą i wątpliwością. Że byli przed nami inni, na przykład pewien tragediopisarz, którego w roku 405 przed Chrystusem rozszarpały w Macedonii psy.

ROMAN PAWŁOWSKI

Teatr Rozmaitości w Warszawie, Eurypides: „Bachantki”, przeł. Stanisław Hebanowski, reż. Krzysztof Warlikowski, scen. Małgorzata Szczęśniak, muz. Paweł Mykietyn, premiera 9 stycznia